E-wolucja zamiast (r)ewolucji

Autor tekstu: **Anna Salman**

Coraz rzadziej zdarza mi się spotykać z pozytywnymi opiniami odnośnie kierunku, w jakim idą zmiany w naszym kraju. Pewnie po części wynika to z, rzekomo wrodzonej, skłonności Polaków do malkontenctwa. Z drugiej strony jednak jesteśmy narodem niepozbawionym poczucia humoru, tak że nawet w bardzo trudnych okresach naszej najnowszej historii potrafiliśmy traktować siebie i otaczającą nas rzeczywistość z dystansem i dużą dozą autoironii. Czy tak bardzo zmieniła się nasza mentalność, czy też ten sposób „oswajania rzeczywistości" nie przystaje do obecnych warunków?

Podejrzewam, że frustracja dużej części społeczeństwa ma źródło nie tyle w realiach ostatnich lat, co raczej w sposobie przedstawiania oraz interpretacji tychże realiów. Należy do nich również odmawianie prawa do krytyki każdemu, kto nie zgadza się ze „słuszną linią" przemian. Naturalną odpowiedzią na krytykę powinno być podjęcie dyskusji, a nie ignorowanie lub, co gorsza, wyśmiewanie. Żyjemy podobno w kraju gwarantującym wolność słowa, co było jednym z postulatów „Solidarności". Dziś ogranicza się ona do wzajemnych inwektyw bądź sugestii, aby „spałować" strajkujących robotników, czy posadzić gejów za murem.

Platforma oburzonych, czy też — jak twierdzą złośliwi — obrażonych (że nie załapali się na pierwszą klasę w pociągu zwanym transformacją) jest zarówno krytykowana, jak i wyśmiewana przez wielu komentatorów życia społecznego. Cokolwiek bym sądziła o poglądach i metodach działania p. Dudy, uważam że związek zawodowy ma pełne prawo, a nawet obowiązek występować w obronie praw pracowniczych, czyniąc to nawet w sposób bardzo radykalny. Ponadto ten ruch jest jednym z nielicznych przejawów zorganizowanych działań społecznych w naszym kraju. Jednak oskarżenia wysuwane pod adresem przewodniczącego związku o chęć zrobienia kariery politycznej uświadomiły mi, że **większość z nas nie wie**, **czym jest polityka**.

Wracając do źródeł — przecież Arystotelesowskie "*politikon zoon*" odnosiło się do człowieka żyjącego we wspólnocie, jak byśmy dziś powiedzieli — istoty społecznej. Wskutek zmian ustrojowych oraz ewolucji językowej utrwalił się sztuczny podział na społeczeństwo (wspólnotę) oraz politykę - wyspecjalizowany obszar zarządzania państwem. W efekcie mamy taki łamaniec językowy, jak polityka społeczna, czyli w wolnym przekładzie — masło maślane.

W systemie demokratycznym jedynym podmiotem uprawnionym do sprawowania władzy, czyli do uprawiania polityki, **jest naród**, stąd wszelkie działania członków danego społeczeństwa podejmowane w przestrzeni publicznej są niczym innym, niż działaniami politycznymi. Ich charakter zależy m.in. od przyjętego modelu rządzenia, w tym narzędzi wpływania na instytucje życia publicznego i ich kontrolowania, zakresu wolności słowa, poziomu kultury politycznej, czy nawet temperamentu obywateli.

Obecnie mamy w Polsce model demokracji pośredniej i system partyjny, z proporcjonalną liczbą miejsc w sejmie. W takim systemie indywidualna wartość kandydatów ma znaczenie drugorzędne, bo głosuje się (w założeniu) na programy. I tu pojawia się pierwsza słabość — nasze partie właściwie nie mają programów, więc prezentują wyborcom zestaw ogólników i chwytliwych haseł. SLD jest bodaj jedyną partią, która posiadała zawsze jasny, klarowny i spójny program — wciąż ten sam i (jak Maryja) zawsze dziewiczy, bo nie realizowany po wyborach. Widocznie partia ta zbyt zajęta była budowaniem pozytywnych relacji z klerem, głównie poprzez obdarowywanie szacownej instytucji mieniem państwowym. Z chwilą pojawienia się w parlamencie Ruchu Palikota, SLD nagle objawiła swoją nową — starą twarz zagorzałego antyklerykała (do tego kobiecą), stąd wszechobecność w mediach p. prof. Senyszyn, która wcześniej ze swoimi poglądami była jakby na drugim planie, a potem na zsyłce w Brukseli. Tu też pojawia się wątpliwość — z całym szacunkiem dla pani profesor, ale chyba kadencja europarlamentu trwa i to tam właśnie nasi eurodeputowani powinni pilnować interesu polskich obywateli. To samo dotyczy zresztą kilku innych osób publicznych, które bez żenady, biorąc diety poselskie z Brukseli, prowadzą w Polsce kampanię wyborczą.

I tak w zasadzie wygląda w naszym kraju dialog polityków (zawodowych) z ich pracodawcą, czyli elektoratem — nieustająca kampania wyborcza, polegająca głównie na pozyskiwaniu popularności, z mocnym przyspieszeniem na finiszu, okraszonym deklaracją, że „będzie lepiej, jak nas wybierzecie".

Brak programów (a nawet wizji kierunku przemian) przełożył się na konieczność dokonywania

wyborów w oparciu o indywidualne cechy polityków, w tym głównie **światopogląd**, ponieważ tzw. „kompetencje", polegają raczej na umiejętności zaistnienia w mediach. Stopniowo scena polityczna zapełniła się celebrytami, których popularność rosła wraz z częstotliwością odwiedzin w stacjach TV, niezależnie, czy ich obecność wnosiła coś do debaty publicznej. Dość szybko okazało się, że metoda personalnych wyborów też się nie sprawdza, z uwagi na transfery międzypartyjne, już w trakcie kadencji. Można więc, głosując na konkretną osobę, wzmocnić partię, z której liderem (bo raczej nie z programem) się nie utożsamiamy.

Dlatego nie dziwi mnie irytacja, zwłaszcza tych, którzy uświadomili sobie, że są jedynie widzami w średniej jakości spektaklu. Obawiam się, że za szybko i zbyt łatwo daliśmy sobie wmówić, że jedynym narzędziem demokracji jest kartka wrzucona raz na cztery lata do pudełka owiniętego w barwy narodowe. W ten sposób powstała absurdalna sytuacja, gdy „ogon macha psem", tzn. niewielka grupa dyktuje większości warunki, dogodne dla niej samej oraz powiązanych z nią środowisk. Jednocześnie utrwalany jest przekaz o bezzasadnych rzekomo roszczeniach „przypadkowego społeczeństwa", w opozycji do — jak najbardziej zasadnych — przywilejów elity.

W odpowiedzi następuje aktywizacja środowisk bardzo radykalnych, które agresję, wynikającą z frustracji, kierują na rzeczywistych lub (częściej) urojonych „wrogów", w tym zupełnie przypadkowych lub usłużnie wskazanych przez samozwańczych przywódców i ideologów. Czasy kryzysu wymagają **kozła ofiarnego**, którego pognębienie pomaga uspokoić nastroje społeczne. Jeżeli zdarza się, że rolę kozła ofiarnego pełnią elity, określa się to mianem **rewolucji społecznej** i traktuje, jako punkt przełomowy w dziejach narodu.

W mojej ocenie jednak takie **rewolucje nie stanowią postępu**, ani nawet przełomu w rozwoju społecznym, **ponieważ nie zmieniają realnie struktury społecznej**. Wymiana elit, niewielkie poszerzenie zakresu wolności obywatelskich dla grup społecznie upośledzonych, czy częściowa zmiana pewnych procedur, to zmiany kosmetyczne, w gruncie rzeczy pozorne. **Jedyną metodą,** która może przynieść trwałe rezultaty **jest rewolucja mentalności**.

Co jest jej największym mankamentem? Każdy musi dokonać jej na własną rękę. A co jest zaletą? Dostępność — nikt, ani nic nie jest w stanie zabronić ludziom myśleć.

Nasze społeczeństwo dysponuje w dalszym ciągu zarówno potencjałem, jak i niezbędnymi do wykorzystania narzędziami. Ten potencjał to dość wysoki mimo wszystko poziom wykształcenia, a narzędzia — gwarantowane konstytucyjnie **prawo do samostanowienia**. Jednak prawa obywatelskie same w sobie nie stanowią wartości, dopóki nie zaistnieje **powszechna świadomość posiadania tych praw,** obejmująca również **świadomość posiadania takich samych praw przez współobywateli**. To drugie stanowi chyba największe wyzwanie dla osób uwikłanych mentalnie w hierarchiczno — partyjny obraz świata (fakt, że dominujący od lat w naszym krajobrazie). Pojawiające się co jakiś czas pomysły wprowadzania cenzusu wyborczego, niezależnie — majątkowego, związanego z wykształceniem, czy opartego na (bliżej nieokreślonych) przymiotach moralnych, są zatrważające, bo podświadomie budowane na pogardliwym stosunku do innych. Taki sposób myślenia ułatwia utrwalanie podziałów społecznych, które są wykorzystywanych następnie do realizacji własnych celów przez grupy najzręczniej operujące w obszarze polityki, tu rozumianej, jako zarządzanie emocjami — przede wszystkim negatywnymi, bo te utrzymują się dłużej i łatwiej jest je wzmacniać.

Czasem spotykam się z opiniami, że część osób powinna mieć ograniczony, nawet tak znikomy jak obecnie, udział w życiu politycznym. Zwolennicy skrajnej prawicy, bo są niebezpieczni, zwolennicy lewicy — bo doprowadzą kraj do bankructwa, starsi ludzie — bo mają obniżony potencjał intelektualny i są podatni na wpływy Kościoła, nie mówiąc już o osobach ze środowisk społecznie upośledzonych, bo stanowią wszystkie te zagrożenia naraz i dodatkowo jeszcze inne — bliżej nieokreślone. To ponoć powszechne zjawisko, że innych oceniamy gorzej niż siebie, jednak można je nieco zredukować, chociażby nie angażując się emocjonalnie w ocenę cudzych (domniemanych) przekonań. Im niższy bowiem stopień wzajemnej niechęci, tym łatwiej o akceptację powszechności uczestnictwa w życiu publicznym, czyli — wielki krok w stronę demokracji uczestniczącej.

Po tym przydługim wstępie, w którym starałam się przybliżyć własną diagnozę obecnego stanu rzeczy, zamierzam przedstawić koncepcję zmiany nie tyle systemu, co naszego sposobu postrzegania tegoż systemu. Muszę jednak uprzedzić, że owa koncepcja stoi w zdecydowanej opozycji do tego, z czym na co dzień mamy do czynienia, stąd niezbędne jest chwilowe zdystansowanie się do własnych przekonań.

Przedmiotowy projekt inspirowany jest książką amerykańskiego pisarza Alvina Tofflera „Trzecia fala" [1] oraz artykułem „Jarmark idei" Krzysztofa Szymborskiego [2]. Toffler, analizując nieprawidłowości w funkcjonowaniu amerykańskiej demokracji, zaproponował, aby ustawy poddawane były pod głosowanie zarówno członków kongresu, jak i wybranej losowo grupy zwykłych

obywateli. Już w czasach, gdy książka powstawała — u progu rewolucji informatycznej, autor widział szansę na wdrożenie takiego rozwiązania, obecnie coraz więcej osób postrzega je jako zupełnie naturalną konsekwencję rozwoju technologicznego. Z kolei Krzysztof Szymborski porusza w swoim artykule zagadnienie zaskakująco trafnej (uśrednionej) oceny różnych zjawisk, dokonywanej przez grupy przypadkowo dobranych osób, opierając się m.in. na sytuacjach opisanych w książce *Mądrość tłumów* publicysty z „New Yorkera" — Jamesa Surowieckiego. Obie te publikacje sugerują, że najlepszą z możliwych jest decyzja, stanowiąca wypadkową opinii pojedynczych osób, niekoniecznie posiadających specjalistyczną wiedzę w danym temacie.

Nie raz i nie dwa w ciągu naszej długiej historii daliśmy dowód, że bodaj ostatnią rzeczą, do jakiej jesteśmy zdolni jako naród, jest współpraca. To, co w mitologii narodowej, określane jest jako wybujały indywidualizm, to gruncie rzeczy mieszanka egoizmu, zawiści podbudowanej kompleksami oraz niski poziom kompetencji komunikacyjnych. Paradoksalnie ja w tym właśnie dostrzegam ogromny potencjał. Nie mamy już czasu, aby budować kapitał społeczny (to trwa pokolenia), więc należy pracować na tym, co dostępne. Po prostu potraktujmy te właśnie nasze najgorsze cechy, jako kapitał wyjściowy — czyniąc siłę z własnych słabości. Tym bardziej, że tej naszej narodowej ułomności w sukurs przychodzą najnowsze odkrycia z zakresu nauk społecznych.

„Tłum ujawnić może swoją mądrość, twierdzi Surowiecki, jeśli spełnione są trzy zasadnicze warunki — musi być możliwie różnorodny, poszczególni tworzący go osobnicy działać muszą niezależnie, a ich działanie musi być w pewien szczególny sposób zdecentralizowane." [3]

Takie właśnie warunki spełnia dobór losowy, dokonywany spośród wszystkich obywateli naszego kraju w celu stworzenia czegoś na kształt obywatelskiego — wirtualnego parlamentu. Czyli — zamiast bawić się w kosztowne rewolucje lub zdać się na (zbyt powolną) ewolucję, powinniśmy rozważyć metodę **e-wolucji**.

Pomysły z wykorzystaniem Internetu do głosowania pojawiają się od dość dawna, jednak te rozwiązania, z którymi się spotkałam miały co najmniej jeden z dwóch poważnych mankamentów. Pierwszy — nadmierne dopracowanie projektu, co w zasadzie z góry wyklucza poddanie go pod dalszą dyskusję. Z doświadczenia wiem, że autorzy, którzy dużo czasu i energii włożyli w swoją pracę, niechętnie reagują na sugestie jakichkolwiek zmian. Drugim błędem było wskazywanie, do jakiej grupy społecznej jest kierowany pomysł (z reguły — młodzi, wykształceni). Takie założenie jest wykluczające, gdy tymczasem **demokracja nie może wykluczać nikogo**.

Pomysł Tofflera, na stworzenie mieszanego, poselsko — obywatelskiego parlamentu można połączyć z pojawiającymi się coraz częściej postulatami w sprawie likwidacji senatu — izbę wyższą docelowo zastąpiłaby grupa losowana spośród wszystkich pełnoletnich obywateli, reprezentatywna dla struktury naszego społeczeństwa. Z czasem można by było zmniejszyć również liczbę posłów, co raczej nie przełożyłoby się na znaczne oszczędności (realnie nie są zbyt wysokie), ale pomogłoby obniżyć poziom społecznej irytacji. Przewagą doboru losowego byłaby, oprócz faktycznej reprezentatywności grupy, redukcja możliwości korupcji politycznej z uwagi na anonimowość i rozproszenie geograficzne wirtualnych parlamentarzystów.

Tu oczywiście powstaje pytanie — jakie kwalifikacje do podejmowania decyzji w istotnych dla kraju kwestiach ma przeciętny Iksiński? Myślę, że wcale nie niższe pani profesor, która podbiła niedawno serca prawdziwych Polaków, brawurowo rozszerzając zakres pojęcia "wyrażać się **parlamentarnie**". Nie mówiąc już o znanym polityku, którego CV sprzed wejścia do parlamentu zajęłoby może trzy linijki, a i to z uwagi na długą nazwę „wysokiego" stanowiska jakie piastował.

Ogólne zasady pełnienia funkcji e-posła

Kadencja wirtualnego parlamentu trwałaby kilka miesięcy (np. 3 lub 6), a funkcja parlamentarzysty byłaby bezpłatna i pozbawiona przywilejów. Każdy z wylosowanych otrzymywałby zawiadomienie z wyprzedzeniem np. miesięcznym przed rozpoczęciem „kadencji". Musiałby to być czas wystarczający, aby dana osoba zdążyła potwierdzić otrzymanie zawiadomienia.

Każdy obywatel mógłby zablokować swój PESEL (rezygnując z udziału w losowaniu), z możliwością odblokowania w dowolnym czasie. Po zakończeniu wirtualnej kadencji obywatel traciłby „bierne prawo wyborcze" (w rozumieniu bycia wylosowanym) na okres, powiedzmy 10 lat. Zawodowy poseł / prezydent RP miałby automatycznie blokowany PESEL od chwili wejścia do parlamentu / objęcia urzędu do końca piastowania swojej funkcji.

Dostępność sprzętu / systemu

Dostęp do komputera / Internetu dla osób, które nie mają go w domu musiałaby zapewnić gmina. W każdym urzędzie miasta lub gminy powinno być wydzielone jedno stanowisko, w miejscu odosobnionym, przystosowanym dla osób niepełnosprawnych. Do skorzystania uprawniałoby zawiadomienie o uczestnictwie w głosowaniach parlamentu w okresie od — do. Każdy, zwłaszcza osoba niepełnosprawna, czy nie czująca się pewnie w obsłudze komputera / systemu, miałby prawo przyjść z wybranym przez siebie asystentem, a w braku takiej możliwości powinien mieć zapewnione wsparcie techniczne ze strony osoby delegowanej przez urząd. Zważywszy nikły zapewne procent takich sytuacji, ta usługa nie byłaby czasowym, ani też finansowym obciążeniem dla urzędu.

Argument przeciw, czyli możliwość wykorzystywania głosu np. osoby niepełnosprawnej dla własnej korzyści jest nieistotny o tyle, że w trakcie wyborów też można korzystać z pomocy i jakoś nie dochodzi do nadużyć.

Frekwencja

Jest oczywistym, że część wylosowanych osób w ogóle nie weźmie udziału w głosowaniu z różnych względów. Jednak przy tej formule głosowania oraz doborze odpowiednio dużej grupy (powiedzmy 2 lub trzy tysiące) frekwencja jest mniej istotna. Obecnie też zdarza się, że sala sejmowa świeci pustkami, a w przypadku sejmu wirtualnego nawet 30% (najczęściej wymagany minimalny próg w badaniach marketingowych) daje lepszy wynik liczbowy.

W trakcie testów systemu dobrze było wprowadzić, na tych samych zasadach, opiniowanie aktualnie opracowywanych ustaw. Byłoby może interesujące dla posłów, gdyby dowiedzieli się, że projekt odrzucony w sejmie przewagą 60% głosów, znalazł w niezależnym ciele opiniodawczym poparcie u 70% głosujących.

Zmiany w procedurach legislacyjnych

Zmiany w pracy realnego sejmu byłyby dla wielu posłów zapewne trudne do przełknięcia. Po pierwsze — na stronach wirtualnego sejmu projekt musiałby się znaleźć z pewnym wyprzedzeniem. Musiałby zawierać: cel wdrażania ustawy, wstępnie szacowany koszt wdrożenia / poziom przewidywanych oszczędności, przy czym opracowania te musiałyby być konkretne, a nie ogólnikowe typu „dla poprawy jakości…". Poza tym opis treści ustawy, w języku przystępnym dla przeciętnego obywatela. Ustawa nie mogłaby zawierać odwołań do innych aktów równego rzędu, czyli musiałaby wyczerpywać temat w całości. Bynajmniej nie doprowadziłoby to do powielania przepisów, wręcz przeciwnie — uporządkowałby sytuację, gdy przepisy rozproszone są w wielu miejscach. Projekty wprowadzane byłyby i uchylane całościowo, a za każdy imiennie odpowiedzialni byliby autor oraz szef klubu parlamentarnego, przy czym docelowo liczba projektów powinna być ograniczona do dwóch na miesiąc.

Dodatkowym utrudnieniem dla zawodowych posłów byłaby konieczność rzeczywistego przekonania jak największej liczby obywateli do własnych projektów, czyli „praca w terenie" oraz prezentowanie (omawianie) projektów w mediach publicznych. To drugie może być realizowane w formie dyskusji z ekspertami zgromadzonymi w studio lub odpowiedzi na pytania zadawane telefonicznie przez publiczność w programie „na żywo". Każdy z powyższych wariantów wymaga zarówno znajomości projektu jak i stanowiska klubu.

Z czasem więc taki system pracy wymusiłby wprowadzanie na listy wyborcze specjalistów w różnych dziedzinach, zamiast osób, które dobrze się prezentują lub „są lubiane". Cechy pożądane u celebrytów przestają mieć znaczenie, gdy zachodzi konieczność publicznej obrony swojego stanowiska w konkretnej sprawie.

Ustawa budżetowa

Z reguły, gdy ktoś wysuwa propozycję kontroli obywatelskiej nad uchwalanymi przepisami, głównym kontrargumentem jest ustawa budżetowa, jakoby tak skomplikowana, że nawet posłowie jej nie rozumieją (w to akurat skłonna jestem uwierzyć). Dla mnie oznacza to tyle, że powinna zostać uproszczona i skrócona, a opis projektu powinien wskazywać strukturę i przewidywane kwoty przychodów i wydatków z opisem, na jakiej podstawie są tak skalkulowane. Również prawo do zaciągania kredytów zagranicznych powinno wymagać akceptacji społecznej.

Oczywistym jest, że w kwestii wydawania pieniędzy ostatnie słowo powinno należeć do tych, którzy je zarobili, czyli podatników. Jeśli ktoś jest zdania, że nie mogą w równym stopniu decydować

o wydatkach osoby, które w różnym stopniu zasilają budżet (sugestia „nie wprost" o stosowaniu cenzusu majątkowego), powinien wziąć pod uwagę, że rzeczywisty poziom wpłat poszczególnych obywateli jest trudny do oszacowania, z uwagi chociażby na podatki pośrednie. Po dokonaniu rzeczywistych, szczegółowych podliczeń mogłoby się okazać, że grupy wskazywane, jako przynoszące budżetowi największy dochód, są w gruncie rzeczy największymi tegoż budżetu beneficjentami.

Kolejnym argumentem przeciw jest zazwyczaj rzekoma roszczeniowość społeczeństwa, które dochody państwo wykorzystałoby dla własnej korzyści. Oskarżenie wręcz kuriozalne, bo nie znam nikogo, kto własne zarobki przeznacza dobrowolnie dla cudzej korzyści, wyjąwszy rzecz jasna działalność charytatywną. Dochodzimy tu do kwestii priorytetów, czyli ustalania hierarchii ważności dla różnych spraw. Większość naszego społeczeństwa ma niewątpliwie chłopskie korzenie, co sprawia, że jesteśmy bardzo pragmatyczni. Potwierdzają to również doniesienia o protestach w obronie zamykanych szkół oraz krytyczne uwagi na temat systemu oświaty i działania służby zdrowia. Dlatego jestem pewna, że akurat te dwa obszary — edukacja i służba zdrowia raczej by zyskały na takim powszechnym uzgadnianiu wydatków. Inaczej zapewnie wyglądałoby to w przypadku armii, a zwłaszcza naszych „misji zagranicznych".

Zresztą główny argument - „obywatele są zbyt głupi, aby rozumieć ustawę budżetową" traci siłę rażenia w świetle ostatnich badań. Jeżeli faktycznie nie rozumieją, to mogą głosować intuicyjnie, jak w przypadkach opisanych przez Surowieckiego. Dla większej pewności można podnieść (np. trzykrotnie) na potrzeby tej ustawy liczbę wirtualnych parlamentarzystów.

Ponadto przypominam (nie tak dawne przecież) głosowanie w Parlamencie Europejskim nad ACTA. **Żaden z naszych eurodeputowanych nie zapoznał się z treścią ustawy**, do czego przyznawali się bez żenady. Nie mogli nawet wykazać się ową „mądrością tłumu", bo nie spełnili warunków określonych przez Surowieckiego — głosowali po prostu tak, jak reszta.

Kontrola pracy parlamentu

Jestem zwolenniczką podawania do publicznej wiadomości danych na temat frekwencji poselskiej w trakcie głosowań oraz imiennego wskazywania, kto jak głosował. To jest normalna kontrola pracy, tak jak w każdej innej instytucji. Ponadto powinna istnieć możliwość odwołania posła przez wyborców z jego okręgu, oczywiście w sytuacjach uzasadnionych, np. wejścia w konflikt z prawem. W przypadkach skrajnych (korupcja polityczna) partia traciłaby możliwość wprowadzenia innej osoby ze swojej listy — po prostu zmniejszyłoby to liczbę posłów.

Odejście posła z partii w trakcie kadencji byłoby równoznaczne z jego odejściem z parlamentu. Wyborca głosujący na określony program polityczny musi mieć pewność, że osoba, która otrzymała mandat będzie te właśnie postulaty realizowała.

Inicjatywa obywatelska oraz referenda

Każdy projekt obywatelski traktowany powinien być priorytetowo, a jego odrzucenie bez głosowania możliwe tylko z uwagi na błędy formalne. W systemie wirtualnego parlamentu powinno być przewidziane miejsce dla umieszczania projektów ustaw obywatelskich z możliwością dodania swojego poparcia, przy czym ta strona byłaby dostępna dla wszystkich osób pełnoletnich.

Kwestie dotyczące praw obywatelskich, w tym konstytucja oraz wszystkie określane obecnie, jako światopoglądowe (aborcja, In vitro, związki partnerskie) wymagałyby referendum ogólnokrajowego.

Celowo nie sugeruję konkretnych zmian w prawie i w sposobie funkcjonowania instytucji publicznych, za wyjątkiem parlamentu, gdyż są one drugorzędne. Ponadto mamy wielu (chyba nawet zbyt wielu) specjalistów, którzy uważają, że korekty w obrębie istniejącego systemu spowodują jego radykalne uzdrowienie.

Nie zamierzam również wchodzić w zbędne szczegóły, bo takie rzeczy powinny być poddane społecznym konsultacjom. Chodzi jedynie o zmianę sposobu myślenia o sobie / o nas w kategorii decydenta, a nie tylko poddanego.

Poczucie rzeczywistego wpływu na własne życie sprawia, że ludzie nabierają pewności siebie, a w konsekwencji odwagi, aby realizować cele życiowe. Jednak wybory życiowe to nie wybory konsumenckie, jak nam się wmawia od dłuższego czasu. Faktem jest, że początek okresu transformacji wywołał euforię, ponieważ skończyła się gospodarka niedoborów — po raz pierwszy w historii zdecydowana większość społeczeństwa mogła powiększyć swój stan posiadania. Nastąpił

gwałtowny wzrost konsumpcji wywołany „efektem demonstracji" [4], niestety nie przełożyło się to na równie intensywną adaptację innych - pozamaterialnych wzorców życia.

Zajęci nadrabianiem zaległości konsumenckich nie zauważyliśmy, że pozostałe dziedziny życia, w dodatku te istotniejsze, zaczynają wymykać się spod kontroli. Po latach, dostrzegając już efekty zaniedbań, nie potrafimy określić, które elementy działają nie tak i dlaczego. Wyrywkowe postrzeganie rzeczywistości skutkuje równie fragmentarycznymi receptami na poprawę. Tymczasem naprawianie demokracji może odbywać się tylko w jednym kierunku — zwiększania jej zakresu aż do osiągnięcia demokracji rzeczywistej, czyli partycypacyjnej, w której słowo **obywatel** odzyska właściwe znaczenie. Ostatecznie *vox populi — vox Dei*.

Na koniec nasuwa się oczywiście jedno pytanie — kto miałby zająć się opracowaniem takiego projektu? Nie bardzo wierzę w inicjatywy, które wymagają wprowadzenia jakiejś dodatkowej siły do parlamentu. Z reguły kończy jak zwykle - utworzeniem dodatkowej partii, która albo nie ma siły przebicia albo szybko przywiązuje się do uzyskanych przywilejów. Taki projekt może powstać tylko poza parlamentem i zostać wdrożony jako inicjatywa obywatelska, w drodze referendum. Uważam też, że mamy odpowiednie zasoby ludzkie, dotychczas w ogóle niewykorzystywane, bo funkcjonujące niejako w opozycji do systemu — są to anarchiści.

Tym, którzy dopiero teraz poczuli lekki zawrót głowy, wyjaśniam — to jedyne środowiska realizujące w praktyce ideę samoorganizacji obywatelskiej, opartej na pełnym egalitaryzmie. Ponadto do tej grupy zaliczam hakerów, którzy jako specjaliści w dziedzinie informatyki, stanowiliby najlepsze wsparcie przy tworzeniu bezpiecznego i dobrze działającego systemu, nie wspominając już o kosztach i terminie realizacji.

Czy po wprowadzeniu powyższych zasad nastąpiłaby w Polsce era powszechnej szczęśliwości? — Nie, a już na pewno nie w ciągu kilku pierwszych lat. Na pewno też nie obudzimy się następnego dnia młodsi, piękniejsi, bogatsi (chyba, że w nowe doświadczenie), raczej mocno wystraszeni.

Czy wobec tego warto? Podobno najgłupszą rzeczą pod słońcem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych efektów. Tworzenie nowych partii (z reguły na bazie starych), transfery polityków, zmiany układu sił w parlamencie to w dalszym ciągu jedynie mieszanie nieposłodzonej herbaty, tyle że z coraz większą energią. Wydaje mi się, że dojrzeliśmy do momentu, żeby wykonać jakiś naprawdę radykalny ruch w stronę ponownego upodmiotowienia społeczeństwa.

Dzisiejsze dywagacje na temat wejścia do strefy Euro lub budowy Europy federacyjnej są nieco na wyrost. Tak jak nie zaczyna się budowy domu od dachu, tylko od fundamentów, tak bardziej złożone projekty polityczne muszą się zaczynać od stworzenia silnego — obywatelskiego społeczeństwa. Wiadomo, że ludzie potrzebują czasu, aby oswoić się z nową sytuacją. Po kilku latach dość nędznej frekwencji w głosowaniach, zacznie się ona zapewne zwiększać. Skoro trwonimy nasz (i tak ubogi), kapitał społeczny, to trzeba się uzbroić w cierpliwość i stopniowo go odbudować. Nie oglądając się już, kto w świecie nas wyprzedza, a kto zostaje w tyle, możemy zrobić coś, co nam samym się przyda.

Prawdę powiedziawszy mało jest rzeczy, w które wierzę, jednak jedną z nich jest przekonanie o możliwości uruchomienia potencjału społecznego, i to mimo naszych historycznych zaszłości. Czas kryzysu sprzyja temu najbardziej, bo w sytuacjach skrajnych mamy dwie możliwości — zmiana sposobu widzenia świata albo rozwiązania siłowe.

Ja akurat jestem zbyt leniwa, żeby budować barykady — wybieram komputer.

Przypisy:

[1] A. Toffler *Trzecia fala*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985r.

[2] K. Szymborski "Jarmark Idei" w *Niezbędnik inteligenta* - bezpłatny dodatek tygodnika Polityka nr 11(2495) z 19 marca 2005

[3] Tamże

[4] Efekt demonstracji - efekt pokazowy, polegający na ostentacyjnej, nadmiernej niekiedy konsumpcji mający źródło w porównywaniu standardu własnego życia z życiem innych osób / społeczeństw.

Anna Salman
Publicystka

Pokaż inne teksty autora

(Publikacja: 13-04-2013)
Oryginał.. (http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8897)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.
Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane
w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym,
w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiejkolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje**.

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl